

OWIDIUSZ: *METAMORFOZY* I 5–363

Tłumacz poniższych fragmentów Owidiuszowych *Metamorfóz*, Władysław Mączka, przedwojenny oficer Wojska Polskiego, był wujem mojej żony, zmarłej 8 maja 1981 Marii Magdaleny z domu Maetschke, mianowicie mężem jej ciotki Haliny z domu Januszewskiej, zmarłej 9 listopada 1973. On sam zmarł dużo wcześniej, w roku 1950. Nie znałem go osobiście, a i z wieści rodzinnych wiem o nim niewiele. Najpierw to, że był młodszym bratem zmarłego w czasie pierwszej wojny światowej oficera i poety legionowego Józefa Mączki, że sam był oficerem kawalerii (dosłużył się stopnia majora; w Internecie znalazłem obszerny wykaz oficerskiej obsady Wydziału Taborowego Departamentu II Kawalerii Ministerstwa Spraw Wojskowych, gdzie pod datą 1 X 1925 figuruje jeszcze jako rotmistrz), że najprawdopodobniej walczył już podczas pierwszej wojny światowej, a na pewno (to zaś z zasłyszanych rozmów rodzinnych) w kampanii wrześniowej i po klęsce znalazł się w obozie internowanych na Węgrzech, skąd powrócił do Polski po zakończeniu okupacji niemieckiej. Nie wiem, co robił przez ostatnich parę lat życia w poljańskiej Polsce, słyszałem natomiast, głównie od mojej żony, że był filologiem-amatorem i że pozostały po nim jakieś poetyckie przekłady z literatury antycznej, wedle jej oceny pełne uroku. Wdowa po Władysławie Mączce wszelako pamięć jego kultywowała niezwykle dyskretnie. Trzymając w mieszkaniu na widocznym miejscu jego fotografię, zapewne z ostatnich lat życia, bo ubranego po cywilnemu, nigdy prawie, przynajmniej w mojej obecności, o nim samym, a tym bardziej o owych próbach poetyckich nie mówiła. Przechowywała je tylko pieczołowicie jako rodzaj relikwii, nikomu bodaj ich nie pokazując. Wątpię, iżby myślała kiedykolwiek o próbie ich opublikowania; być może, że nie chciała narażać się na negatywną ocenę i odmowę. To zaś tym bardziej niezwykle, że przez siostrzenicę, późniejszą moją żonę, miała kontakty z II Seminarium Filologii Klasycznej UW i redakcją „Meandra”, dla którego, będąc absolwentką przedwojennej SGH, przez czas jakiś prowadziła czy też fachowo porządkowała księgowość. Tak czy owak, po jej śmierci spuścizna translatorska Władysława Mączki przeszła w posiadanie jej siostrzenicy i wychowanki Ewy Dutkiewicz i popadła w zapomnienie, a wychynęła na światło dzienne dopiero, kiedy po śmierci najpierw Ewy Dutkiewicz, a potem jej męża Romana Burego, porządkowano to, co zostało po nich. Kiedy rzecz doszła do mojej wiadomości, poczułem się zobligowany do zatroszczenia się o ten jedyny, jaki się zachował, przekład. Poddałem go ocenie redaktora „Meandra” i taki oto teraz koniec przybiera ta dziwna minihistoria rodzinna.

Juliusz Domański

Chaos. Cztery żywioły, ukształtowanie ziemi. Powstanie człowieka

Nie było jeszcze ziemi, morza, firmamentu,
Natura miała wyraz powszechny zamętu,
Który nazwano „chaos” – kształt nieutwierdzony
I nie więcej jak ciężar bezwładny, złożony
Z pierwiastków rozmaitych i bez zależności.
Jeszcze Tytan nie dawał słonecznej jasności
Ani nie zmieniał jeszcze rogów księżyc Feby
I nie było powietrza wokół ziemskiej gleby,
Ciężkiej własnym ciężarem, ani wód obfitych
Nie ujęło w granice ramię Amfitryty.
Żywioły były jeszcze niewyodrębnione.
Ziemia była niestała i nieupłynniona
Były jeszcze wód zbiory. Nie było światłości,
Nie było form konkretnych. I ten brak stałości
Zmuszał do wiecznej walki zjawiska odwrotne:
Zimno walczyło z ciepłem, a z suchym wilgotne,
Miękkie z twardym, zaś lekka materia z ciężarem,
Aż bóg, istność najwyższa, zajął się tym swarem.
Bowiem oddzielił niebo od ziemskiej całości
I wyodrębnił wody. Wszelkie wilgotności
Wydzielił z mas powietrza i zostało lotne.
Tak ślepego chaosu władanie pierwotne
Bóg przerwał i pogodził sprzeczne elementy.
Wreszcie cel równowagi został osiągnięty:
Nieba wklęsłe sklepienie, wagi pozbawione,
Uniosła siła ognia aż w najwyższą stronę
Sfery i tam zostało; pod niebios kopułą
Powietrze jako lżejsze przestworza zasnuło;
Niżej swoim bezwładem ciężka ziemi bryła
I ciężarem pierwiastków, które w łonie skryła;
Najniższe zaś obszary ziemskiego podłoża
Zajął element wodny – przysze rzeki, morza.
Obojętne, kto z bogów prowadził te działy
I pierwiastkom chaosu nadał układ stały.
Z tych pierwiastków wpierw ziemi – by w równym zasięgu
Uzależnić je wzajem – dał kształt płaskokręgu,
Nieco wyższego w środku. Potem rozlał wody,
Potem wypuścił wichry, każąc im w zawody
Wiać i okrążyć ziemię. Stworzył rozlewiska

Wód: źródła, rzeki, morza, jeziora, stawiska.
W kręte koryta ujął spadziste strumienie,
Z których część jeszcze w drodze wsiąka w żyzną ziemię,
Część zaś wpada do morza, a w nim bieg swój rączy
Z wolniejszymi falami Oceanu łączy.
Rzekł i powstały pola, łąki rozłożyste,
Lasy liściem okryte – i góry skaliste
Wyłoniły się z ziemi. Dzieli nieboskłony
Na równe sobie strefy, po dwie z każdej strony,
Zaś piąta, najjaśniejsza, w pośrodku spoczywa.
W myśl tych zasad została i ziemską pokrywa
Na strefy podzielona. Z tych w środku leżąca
Wyróżnia się stanami wiecznego gorąca;
Dwie skrajne są znów w śniegu; tylko dwie poślednie
Mają umiarkowane zmiany ciepła, średnie.
Nad ziemią jest powietrze, niby pas przegrody,
Tyle cięższe od ognia, co ziemia od wody.
Pod niebem mgiełki, chmury, obłoki zawisły
Oraz przerażające śmiertelnych umysły
Burze, grzmoty, pioruny, wreszcie wiatry mroźne.
Lecz stwórca im nie wszystko oddał w rządy groźne,
Bo oprzeć się im trudno i kiedy wyruszą
Każdy z nich w swoją stronę, zda się, że świat skruszą.
W niezgodzie są ci bracia: Eurus kraj Nabata,
Persję, południo-wschodni kierunek nalata;
Nasłonecznione kraje, wybrzeża zachodnie
Ciepłym muska oddechem Zefirus łagodnie;
Scyтіę oraz północy całej obszar mnogi
W mroźnych dzierży okowach Boreasz, wiatr srogi;
Zaś kraje przeciwległe Scytom i północy
Trzyma pod ciągłym deszczem chmurny Auster w mocy.
Nad wszystkim rozpiął niebo – najlżejsze z układu,
Niemające nic w sobie z ziemskiego osadu.
Wreszcie, gdy ostateczne granice bóg kładzie,
Wraz gwiazdy, które dotąd w chaosu nieładzie
Ukryte spoczywały pod masy ciężarem,
Wzniosły się, zdobiąc niebo swoich światła czarem.
A izby wszystkie strony świata w równej mierze
Miały swoich mieszkańców, więc w niebieskiej sferze
Bóstwa świecą jak gwiazdy, wszelkie wód rozlanie
Zajęły srebrnołuskie ryby w posiadanie,

Ziemia wydała zwierza, zaś powietrzne szlaki
Ożywiły z boskiego rozkazania ptaki.
Lecz brakło doskonalszej na świecie istoty,
Obdarzonej rozumem, świadomej roboty
I chcącej zapanować nad resztą stworzenia –
I teraz powstał człowiek. Czy z stwórcy nasienia,
Stwórcy, który początek dał lepszemu światu,
Czy też z nasion pokrewnych niebiańskiego kwiatu,
Które przetrwały w ziemi podziałów ostatki
I które ród Japeta, w łonie ziemi matki
Sycąc szczodrze wilgocią nasionom podłoże,
Wychodował i wzięty podobieństwo boże,
I są jakby obrazem bogów, władców świata.
Wzrok ich śmiało do nieba, aż do gwiazd polata.
Ma więc postać wyniosłą całe ludzkie plemię
I wzrok górny, gdy inne twory patrzą w ziemię.
Dawniej ziemia niekształtna i nieutwierdzona
Po przemianach wydała ludzi z swego łona.

Wieki ludzkości

Wiekem złotym był pierwszy w ludzkości istnieniu
Okres, który przeżyła po swoim stworzeniu.
W wieku tym bez ucisku, bez prawa i kary
Z własnej woli strzegł człowiek uznawanej miary
Cnót wszelkich i prawości. I jeszcze na miedzi
Nie czytano gróźb władcy, srogich zapowiedzi
Kar i zemsty. Lud patrzył na jego oblicze
Spokojnie, bowiem prawo nie było dlań biczem.
Sosna, która w swych górach wyrosła wspaniale,
Nie stawiała się nawą, by przez morskie fale
Płynąc ujrzała obce i dalekie światy.
Śmiertelny znał brzeg tylko naprzeciw swej chaty.
Fosy nie otaczały grodów w czasach onych,
Nie znano trąb miedzianych, rogów zakrzywionych,
Nie było mieczów, hełmów, nie znano, co wojsko.
Lud pędził błogi żywot spokojnie i swojsko.
Ziemia, choć jej motyka ni lemiesz nie kraje,
Sama z siebie dawała świetne urodzaje.
Zbiorów nie gromadzono. Człek z zadowoleniem

Zbierał w górach poziomki, jeżyny, derenie,
Owoc morwy rosnącej w lesie, w gęstych krzewach,
I żołędzie, co spadły pod Jowisza drzewa.
Wiosna trwała bez przerwy. Od Zefiru tchnienia
Lekko chwiały się kwiaty, które bez nasienia
Ziemia z siebie wydała. Nieorana gleba
Bielła się kłosami dojrzałego chleba.
Rzeki płynęły mlekiem albo nektarami,
A z zielonego dębu miód płynął strugami.
Po strąceniu Saturna w Tartaru otchłanie
Za Jowisza wiek srebrny dla świata nastanie.
Gorszy był jak ów złoty, lepszy jak miedź ruda.
Jowisz zaraz ukrócił długiej wiosny cuda:
Dał zimę, lato, jesień dżdżystą, zmienną w toku,
Krótką wiosnę i stworzył cztery pory roku.
Od razu się zmieniło. Człek został poddany
Różnym plagom, poprzednio zupełnie nieznanym:
Teraz dopiero poznał upał dokuczliwy
I wiatr mroźny, co ścina lodowe pokrywy.
Zaczęto stawiać domy, gdy w poprzednim czasie
Mieszkało w grotach, w gąszczu lub zwykłym szałasie
Z łyka i kory drzewa. A szukając w ziarnie
Cerery swego chleba, człek raz pierwszy darnie
Ziemi pługiem zorał i złożył w zagony;
I raz pierwszy wół stęknął w jarzmo zaprzężony.
Trzeci był wiek miedziany, w którym świat się skłoni
W srogim zapamiętaniu do użycia broni,
Lecz zbrodni w nim nie było. Po nim nastał czwarty,
Tak zwany wiek żelazny, ten w złościach uparty
Wiek podstępny i zdrady, wiek do zbrodni skory,
W którym giną ostatnie dawnych cnót pozory,
Który wyzbył się wstydu, godności i wiary,
A na ich miejsce krzewi kradzież, zbrodnie, swary.
Siła usprawiedliwia wszelki czyn zbrodniczy,
Chęć zdobycia majątku z niczym się nie liczy,
Rządzi podstęp i zdrada, i chęć posiadania.
Po nieznanach przestworzach żeglarz się ugania,
O których wpierw nie słyszał, nie znał ich imienia.
Sosna, którą ze szczytów górskiego grzebienia
Wycięto i spuszczone aż na morskie fale –
Jako statek z wichrami wnet walczy wytrwale.
Jak powietrze, jak światło wspólną ziemię świętą

Podzielono przezornie i w granice wzięto,
I musiała dostarczać nie tylko żywności,
Ale szukają skarbów, szarpią jej wnętrzności.
Co pod Styksem ukryte, nawet te – niegodni –
Skarby z niej dobywają, podnieętę do zbrodni.
Zjawiło się żelazo szkodliwe i złoto
Gorsze odeń stokrotnie – i powstały oto
Wojny wiedzione równie jak złotem, tak mieczem.
Ręka krwawa w nich bronią szczękającą siecze.
Żyją z gwałtów, z rabunku. Wrogiem człek przychodni,
Teść zięciowi nie ufa, nawet bracia rodni
Spierają się i kłócą. Mąż chce zabić żonę,
Ona jego nawzajem. Trucizną sycone
Macocho w pożywieniu podaje tojady,
Syn chce przedwczesnej ojca własnego zagłady.
Zginęła wszelka prawość. Astrea, jej bóstwo,
Z bóstw ostatnia tę ziemię, którą zbrodni mnóstwo
Skrwawiło, opuściła.

Giganci

Aby zaś niebianie

Nie zaznali spokoju, jak głosi podanie,
Giganci zamierzali atakować niebo.
Zaraz też zgodnie z swoich zamiarów potrzebą
Rozpoczęli układać co najwyższe góry
W stosy jedną na drugiej. Już minęli chmury,
Już do gwiazd mieli blisko, ale Wszechpotężny
Rzucił grom straszną mocą i siłą orężny.
Przebił Olimp, z Pelionu strącił masyw Ossy,
Bo już ją tam Giganci ułożyli w stosy.
Spadając przytłoczyła wielu wężonogich,
A gdy krew wyciekała z ran potworów srogich,
Ziemia krwią przesiąknięta – a przecież ich matka –
W obawie, że wyginą wszyscy do ostatka,
By zachować choć pamięć tego pokolenia,
Krew ciepłą, z ran płynącą, w ród ludzki zamienia.
Lecz i to pokolenie – bezbożne i mściwe,
Lekceważące bogów, rzezi, mordów chciwe –
Swą krwiożerczością zdradza, że ze krwi jest żywe.

Likaon

Westchnął ojciec Saturnius, patrząc z wież zamkowych,
I mając wciąż w pamięci stół Likaonowy,
Kiedy nieznana jeszcze wszem była ohyda
Tej uczty, spłonął gniewem Jowisza¹ i wydał
Rozkaz, aby bezzwłocznie zjawiły się bogi
Na zebranie u niego. Miano Mlecznej Drogi
Nosi droga na niebie, widna w czas pogodny,
Samą jasnością znaczna. Gościniec to godny
Niebian i tędy chodzą, gdy im iść wypadnie
Do pałaców Grzmiącego. Stąd widoczne ładnie
Z prawej i lewej strony są bogów pokoje,
Cudną jasnością świecą otwarte podwoje.
Plebs bogów tu nie mieszka, tu tylko elita,
Li pierwsi tu mieszkają, chwała znamienita,
Cześć bogów tu przebywa. Jeśli słowy trzeba,
Nie bez trwogi, nazywać, to „stolicą nieba”
Nazwałbym miejsca one. Tu siedzą niebianie
Na marmurowych ławach – gdy przed nimi stanie
Sam najwyższy, na berle z kości słonia wsparty.
Głową w kędziorach skinął raz, trzeci i czwarty
(To skinienie świat cały i gwiazdy w ruch wprawia)
I takimi słowami z gniewem rzecz wyjawia:

– Nawet w czas zawieruchy onej tyle trwogi
O me berło nie miałem, kiedy z wężonogich
Każdy chciał rzucić ręce na niebo złupione,
Bo chociaż wrogi były srodze rozjuszone,
Od społeczności jednej ta walka zawisła
I znane było źródło, z którego wytrysła.
Dziś powinienem zgubić, zniszczyć świat ten cały,
Który Nereja szumne wody opasały.
I przysięgam przez rzeki stygijskie i gaje,
Wszystkiego próbowałem. Teraz pozostaje
Wrzód wyciąć, by uchronić ciało jeszcze zdrowe.
Są półbogi, są bóstwa leśne, ogrodowe,
Są Satyry i Nimfy, Fauny i tym równi;
Choć dostojęństwem niżsi niż bogowie główni,

¹ W oryginale *dignas Iove [...] iras* – „gniewem godnym Jowisza”.

Niechaj chociaż na ziemi żyją dość bezpieczni.
Lecz czy to jest możliwe? Czy wierzycie, wieczni,
W to, aby tak być mogło, kiedy mnie samego,
Mnie, który wami rządę, mnie Gromowładnego,
I mnie chciał zwieść Likaon, mąż znany z dzikości?

Zadrzały bogi słysząc o tej nikczemności.
Wszyscy żądają kary na tego zbrodniarza.
Tak, gdy zbrodnicza ręka podnieść się odważy,
By przelać krew Cezara, stworzyć dzień zagłady
Dla imienia rzymskiego, ta potworność zdrady
Przeraziła, jak gromem wstrząśnięty, świat cały.
I te obawy, troski miłe ci się zdały;
Stwierdziłeś sam, Auguście, wyraz przywiązania
Nie mniejszy, jaki odczuł wśród bogów zebrania
Wówczas sam Gromowładny, który ręki gestem
Uciszył wrzawę bogów wraz z szeptów szelestem,
Bo takie króla bogów wola ma znaczenie.
Wreszcie on sam powtórnie przerywa milczenie:

– Nie bójcie się, już cierpi kaźń za swe zamiary,
Lecz chcę mówić, co zrobił, jakiej doznał kary.
Gdy aż do moich uszu doszły zbrodnie ludzi,
Gdy jednak wieść potworna wiary mej nie budzi,
Z opuszczeniem Olimpu ni chwili nie zwlekam
I zwiedzam ziemskie kraje w przebraniu człowieka.
Za długo by wyliczać wszystkie ludzkie zbrodnie,
Wieści nie oddawały całej sprawy godnie.
Minąłem już Menale z strasznymi potwory,
Cyllenę, las licejski mijam krokiem skorym
I stanąłem w Arkadii wraz z początkiem nocy,
Którą ów niegościnnie tyran miał w swej mocy.
Oznajmiam przyjscie boga. Lud garnie się tłumnie
I zaczyna modlitwę, lecz Likaon dumnie
Szydząc powiada: – Zaraz sprawdzę należycie,
Czy to jest bóg, czy człowiek. – I umyślił skrycie
Nagłą śmiercią mnie zgładzić, gdy mną sen owładnie.
Uważał, że ten zamiar stwierdzi najdosadniej,
Że ja nie jestem bogiem. To nie koniec losu,
Bo kazał z zakładników jednego, z Molosów,
Których miał tam u siebie, zaraz zabić mieczem

I to półżywe mięso częścią w ogniu piecze,
Część zaś warzy i takie zastawia obiady.
Dyszac zemstą spaliłem łotrowi Penaty,
Godne swego czciela. On sam uciekł w trwodze.
Gdy chce przemówić, wyje i straszy po drodze
Wyciem spokojne wioski. Z wściekłością na pysku,
Złą żądzą krwi rozlewu, rad, gdy krew ma w zysku,
Napada teraz bydło. Jest wilkiem: odzienie
W sierść, ręka w goleń przeszła i tylko łaknienie
Krwii zostało to samo. Jak był, tak jest siwy;
Ten sam wyraz drapieżny i blask oczu chciwy.
Tak zginął Likaona dom i rodzaj wszelki,
Lecz wszyscy zginąć muszą. Erynie mścicielki
Niech panują nad światem, przecież, jaki wielki,
Jakby się sprzysiągł w zbrodniach. Dostyc już tej złości,
Tej zdrady i podstępów, tej niegodziwości.
I zasłużoną karę wezmą fata sprawy.

Rzekł bóg. Zaraz bogowie wśród ogólnej wrzawy –
Ten chwali, przytakuje, tamten wreszcie judzi,
Ale przysięga władcy o zniszczeniu ludzi
Boli wszystkich jednak. Pytają się o to,
Jak się sprawy ułożą, gdy ziemia sierotą
Po człowieku zostanie, i jak to się zdarzy,
Kto kadzidła zapali u boskich ołtarzy,
Czy zwierz dziki ma posiąść bezludne obszary.
Lecz Ojciec Wszechpotężny ucisza te gwary,
Zabrania wszelkich obaw: jego będzie troską
Stworzyć nową społeczność swoją mocą boską,
On stworzy pokolenie lepsze niżli dawne.
I już miał cisnąć w ziemię swe pioruny sprawne,
Lecz się zląkł, że zapłonie eter, co się wznosi
Wszędzie, i ogień zniszczy końce świata osi.
Wspomniał na przepowiednie – znał wyroki boże,
Że przyjdzie czas, gdy spłonie niebo, ziemia, morze
I zawali się wszystko. Odkłada wykute
Ręką Cyklopów gromy, a świat za pokutę
Odwrotną karą zniszczy: wodą go zaleje
I z rodzaju śmiertelnych nikt nie ocaleje.

Potop

Wpierw Akwilona zamknął w Eolowej grocie
I wiatr wszelki przeciwny deszczowi i słońcu,
A wypuszcza Notusa. Ten na mokrych skrzydłach
Leci, kryjąc w mgle czarnej swoją twarz straszdyła.
Broda deszczem ocieka, z siwych włosów deszcze,
Też z zanadry, z piór płyną. Na czole złowieszcze
Mgły osiadły, wodami brzemienne i słotą.
A gdy ręka naciśnie chmur całuny, oto
Ulewa się zaczyna, słychać grzmot szalony,
A w tęczowej sukience posłanka Junony
Zbiera wodę deszczową i chmurom ją zwraca,
Jakby je żywić chciała. Już przepadła praca
Lat długich i pokoleń: przepadły im plony,
Nie zbierze rolnik tego, co zasiał w zagony.
Lecz dla Jowisza mało takiej klęski świata;
W pomoc mu idą jeszcze wody jego brata.
Jest nim bóg, władca morza, pan wód, Neptun czarny.
On daje do pomocy swój żywioł mocarny.
Wraz też wzywa do siebie podległe mu bogi
Rzek, strumieni, potoków. A gdy bóstwa z drogi
Już się w pałacach władcy pospólnie zgromadzą,
Takie dał rozkazanie swoją boską władzą:

– Nie ma co długo mówić, pracować należy.
Niech każdy z was co prędzej do swych domów bieży.
Usuńcie przed naporem wód wszelkie stawidła
I rozpędzonym falom nie dawać wędzidła.

Tak rzekł. Bóstwa wód idą – każde w strony swoje.
Zwalniają wszelkie więzy, rozpuszczają zdroje
I fale rozlewają się wszędzie jak morze.
On sam trójzębem wstrząsa Matki Ziemi łoża.
Zadrzała i otwiera wszystkie wód swych biegi.
Pędem runęły rzeki nie patrząc na brzegi.
Płyną przez pola, łąki, zasiewy, ogrody,
Porywając świątynie, domy, ludzi, trzody.
A choć dom jakiś pierwszej fali się opiera,
Przyjdzie następna, wyższa, i wszystko zabiera.
Już wieże nawet nikną w głębinach topieli,

Już nie widać, gdzie morze, a gdzie brzeg się ścielił.
Wszystko woda zalała, bezbrzeżne jest morze.
Ten chroni się na górę, ów zaś fale porze
Wiosłując w krzywej łodzi tam, gdzie dawniej orał,
Ten nad miejscem, gdzie dotąd była wioska spora,
Ten nad zbożem, ten ryby zwinnie pływające
Łapie w gałęziach klonu. Kotwica na łące
Utkwi, gdy los tak zdarzy, a łódź swoim spodem
Trze o krzewy winnicy, prując nad nią wodę.
Tam, gdzie trawę skubała kóz gromada sielska,
Krowy morskie składają swe olbrzymie cielska.
Podziwiają Nerejdy domy, miasta, gaje
Pod wodą. W starych lasach dziś delfinów zgraje
Harcują, w ruch wprawiając konary dębowe.
Wilk płynie wraz z owcami, a tam znów lwy płowe,
Tygrysy fala niesie. Na nic się dzikowi
Zdała siła piorunu, szybkość jeleniowi.
Szukając długo ziemi, gdzie by oparł nogę,
Ptak wędrowny zmęczony w morzu skończył drogę.
Nieposkromione morze zalało wzniesienia,
W szczyty gór biją fale. Nie ma już zbawienia:
Większość porwały fale; tych, co uszli wody,
Zniszczyła długa nędza i zabiły głody.

Deukalijon i Pyrra

Aonów oddzieliła od mieszkańców Ety
Ziemia żyzna, Focyda, lecz teraz niestety
I ta była zalana. Już fale potężne
Zalały i to miejsce. Tylko niebosiężne
Dwa szczyty gór Parnasu sterczą nad wodami,
Szczyty ostre i dumne, okryte chmurami.
Tu Deukalijon w miejscu wolnym od powodzi
Wraz z towarzyszką łoża wysiadł z małej łodzi,
By wielbić bóstwa górskie, Nimfy Korycydy
I by zasięgnąć wróżby u boskiej Temidy,
Których tu udzielała. Nie było nikogo,
Z mężów, który by służył wierniej odeń bogom,
I większej bóstw czcicielki nie było jak ona.
Gdy więc przez władcę była rzecz postanowiona,

By zniszczyć świat potopem i z tylu tysięcy
Wybrać męża z niewiastą i nikogo więcej
Nie zostawić przy życiu, wybrał właśnie one
Bóstw czciciele niewinne. Zaraz Akwilonem
Rozpędza chmur całuny nad ziemią rozpięte.
Niebo ujrzało ziemię, ziemia niebo święte.
I gniew morza też ustał. Neptun trójzęb składa.
Zaraz uciekły burze i woda opada.
Pozywa też Trytona. Ten na falach wspięty,
Z grzbietem muszlami morza ściśle porośniętym,
Że zda się być z lazuru, przybył. Bóg mu każe
Zadać w konchę: tym znakiem powstrzymuje wraże
Zniszczenie wód potopu. Tryton konchę chwyta.
Koncha ta w coraz szersze zwoje jest uwita,
A gdy się głos jej ozwie w samym środku morza,
Słychać ją tam, gdzie wschodzi i zachodzi zorza.
Gdy mokre usta bożka i zroszone lica
Dotknęły onej konchy, wszelka okolica,
Nawet najodleglejsza ziemia, rzeka, morze
Przejęły z tonów konchy rozkazanie boże,
A słysząc powstrzymały wód szalone biegi.
Już rzeki są w korytach, morze już ma brzegi,
Wszędzie woda opada, wyłania się ziemia
I jest jej coraz więcej w miarę wód zmniejszenia.
I tak po długim czasie widać lasów szczyty,
Choć ich dawną zieloność pokrył muł obfity.
Świat był uratowany. Mąż Pyrry spostrzega
To zniszczenie, tę ciszę, która świat zalega,
I do żony ze łzami tak mówić zaczyna:

– Siostrzo, małżonko moja, kobieto jedyna,
Z którą mnie pochodzenie złączyło i łoże,
A dziś niebezpieczeństwa w jednym łączą torze,
Z całej mnogości ludzi, z całej ludzkiej rzeszy
Myśmy dwoje zostali. Reszta wśród pieleszy
Fal zimnych śmierć znalazła. A i teraz przecie
Nie jesteśmy zbyt pewni żywota na świecie:
Dotąd nas przerażają te straszliwe deszcze.
A gdyby tak los srogi i mnie zabrał jeszcze
I zostałabyś sama, to któż by pospieszył,
By cię podtrzymał w trwodze? Któż by cię pocieszył?

Bo i ja – wierz mi, żono – gdybyś ty zginęła,
Ja poszedłbym za tobą i mnie by też wzięła
Groźna fala potopu. Gdybym raz jedyny...²

Przełożył Władysław Mączka

ARGUMENTUM

Omnibus bene nota pars operis Ovidiani imprimatur hic versa Polonice a tribuno militum, qui anno 1950 obiit. In brevi praefatione Iulius Domański aliquam notitiam vitae illius hominis paene iam ignoti, ipsius autem affinis, praebere lectori conatur.

² Na tym urwanym zdaniu kończy się zachowana kopia przekładu. W przekładzie Brunona Kicińskiego całe zdanie ma postać: „O czemuż ojca mego nauką nie słyę / I nie umiem wlać duszy w ulepioną glinę?”